Edmond Hamilton

Transuranowiec

(Transuranic)

Thrilling Wonder Stories February 1948
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I
Niespodziewane odkrycie

Początkiem całej sprawy były dla nas dziwne słowa Andersena. Oczywiście, nie był to prawdziwy początek. Przypuszczam, że można powiedzieć, że tak naprawdę wszystko zaczęło się, gdy Becquerela po raz pierwszy zaintrygowały jego zamglone płytki fotograficzne. Ale dla nas początkiem były przeczucia Andersena.

Nazywaliśmy go „Melancholijnym Duńczykiem”. Ale to był tylko żart, choć jego chudy, trupi wygląd pasował do tego jak ulał. Tak naprawdę wcale nie należał do ponuraków i był pierwszorzędnym chemikiem jądrowym. Dlatego zaskoczył nas tym, co mówił podczas kolacji.

Rozmowa, oczywiście, toczyła się wokół spraw zawodowych, jak niemal zwykle w Stacji Transuranowej. Zarias z triumfem opowiadał o tym, jak pierwiastek numer 144 przechodził przez kolejne „kaniony”[1].

— Pięćdziesiąt nowych pierwiastków transuranowych, nie licząc luk! — cieszył się. — I jestem pewien, że jeden-czterdzieści-cztery będzie przynajmniej na wpół stabilny.

Wtedy głos zabrał Andersen.

— Mam wrażenie, że to, co tu robimy, jest sprzeczne z kosmicznym planem — powiedział swoim powolnym angielskim.

Zarias wybałuszył oczy. Był grubym, łysym Grekiem, lekceważącym wszelkie świętości, genialnym fizykiem, który miał w sobie tyle mistycyzmu, co klamka u drzwi.

— Kosmiczny plan? — powtórzył. — O czym ty mówisz?

Ziemista twarz Andersena zarumieniła się nieco, gdy zobaczył, że wszyscy patrzymy na niego z zaciekawieniem.

— Chodzi mi o to — wyjaśnił z wahaniem — że wszystkie te transuranowe pierwiastki, które tu tworzymy, są wyłącznie dziełem człowieka. Nic podobnego nigdy nie istniało w naturalnym kosmosie. Stanowią one sztuczną ingerencję, zupełnie nowy rząd materii, który w ogóle nie należy do naszego wszechświata.

Zarias prychnął.

— Mój drogi Duńczyku, radziłbym ci skonsultować się z naszym przyjacielem Varezem w sprawie stanu twojej psychiki.

Widziałem, że Andersen był odrobinę urażony.

— On tylko żartuje, Nils — wtrąciłem.

Zarias zaklął.

— Ja nie żartuję, Drummond. Kiedy poważny naukowiec zaczyna popadać w mistycyzm, nadchodzi czas, by sprawdzić jego kompleksy.

— Spokojnie, spokojnie, panowie — powiedział Burris w swój kpiący sposób. — Musimy pamiętać, by nie działać sobie nawzajem na nerwy!

[1] Kanionami (ang. *Canyons*) nazywano urządzenia do separacji chemicznej substancji radioaktywnych (przyp. tłum.)

Wszyscy się roześmieli, ponieważ zostało to wypowiedziane z pompatyczną manierą dyrektora i przypomniało nam najlepszy żart, jaki opowiadaliśmy sobie na Stacji Transuranowej. Był to żart już nieco wytarty, ale wciąż mile widziany w naszym izolowanym i monotonnym świecie.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie zamierzam przybierać pozy „Ach, ta straszliwa samotność!”. Pierwsi naukowcy atomiści, którzy pracowali na Stacji Transuranowej, całkiem solidnie przesadzili z tą pozą na użytek podziwiającego ich świata. Osobiście na ten widok zawsze robiło mi się niedobrze.

Ale to było izolowane środowisko; nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Trzydziestu naukowców i techników, w tym dwudziestu jeden mężczyzn i dziewięć kobiet, pracowało przez sześć miesięcy w skomplikowanym grobowcu z betonu i metalu zatopionym w powierzchni Księżyca.

Od razu, kiedy przybyliśmy na Stację Transuranową, zostaliśmy uroczyście napomniani przez Cubbisona, naszego dyrektora.

— Najważniejszą rzeczą — oznajmił nam, — jest nie działać sobie nawzajem na nerwy.

Dowcip polegał na tym, że sam Cubbison był jedynym człowiekiem, który działał na nerwy dosłownie wszystkim. Doktor Walter Cubbison - zawsze nalegał na tego „doktora” - był najwspanialszym okazem biurokraty naukowego, jakiego tylko można było sobie wyobrazić. W latach 50-tych prowadził solidne badania, ale to nie to skłoniło Komisję Energii Atomowej do mianowania go szefem Stacji Transuranowej. Wszyscy wiedzieliśmy, że chodziło o jego zdolności polityczne.

— Nie może być żadnych emocjonalnych przeszkód dla naszej pracy — zaklinał nas. — Wszystkie tego rodzaju problemy muszą być przekazywane naszemu zdolnemu psychologowi, doktorowi Varezowi.

Cóż, pomimo obaw Cubbisona o stan naszych nerwów, nie musieliśmy jeszcze zawracać głowy Varezowi. Byliśmy na to zbyt dobrze przystosowani. Teraz jednak wydawało się, że Nils Andersen faktycznie trochę się zagalopował.

Dał mi jednak odrobinę do myślenia. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że Stacja Transuranowa jest placówką bezprecedensowego przeciwstawienia się normalności. Ale w pewnym sensie tak było.

Nie jest to łatwe do wytłumaczenia laikom. Bardzo prosto jest napisać „Wprowadzenie do atomu”, ale nie da się sprawić, by fizyka jądrowa była równie łatwa do zrozumienia, co gra w piłkę. Postaram się jednak wyjaśnić, co Andersen miał na myśli.

Do początku lat czterdziestych XX wieku w przyrodzie występowały dziewięćdziesiąt dwa pierwiastki. Były to pierwiastki od wodoru do uranu, od liczby atomowej jeden do dziewięćdziesiąt dwa. Pierwiastki te tworzyły wszelkie substancje, jakie występują w przyrodzie. Mendelejew starannie

poukładał je w swoim układzie okresowym i po prostu nie było ich już więcej.

Następnie zaczęto bombardować uran neutronami, aby doprowadzić do rozszczepienia uranu, na czym opiera się energia atomowa. Odkryto, że jeden z izotopów uranu pochłania neutron, a następnie wyrzuca elektron. Zwiększyło to jego liczbę atomową, czyli liczbę ładunków w jądrze, z dziewięćdziesięciu dwóch do dziewięćdziesięciu trzech. A to oznaczało, że nie był to już uran, lecz zupełnie nowy pierwiastek - neptun.

Neptun przy pomocy tego samego procesu został w naturalny sposób rozbudowany do liczby atomowej dziewięćdziesiąt cztery i tak otrzymaliśmy pluton. W 1946 roku naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego rozpoczęli próby dodania do uranu węgla, pierwiastka numer sześć, aby stworzyć kolejny nowy pierwiastek - numer dziewięćdziesiąt osiem.

Rozumiecie, co się wydarzyło? Po raz pierwszy w historii „normalny” zakres dziewięćdziesięciu dwóch pierwiastków został rozszerzony. Powstały nowe pierwiastki, pierwiastki transuranowe, które nigdy nie występowały naturalnie. Były one tworem całkowicie sztucznym, nowym rodzajem materii.

Oczywiście fizycy atomowi nie poprzestali na tym. Kontynuowali proces rozbudowywania jąder, aby stworzyć więcej nowych pierwiastków transuranowych. Do 1960 roku doprowadzili serię pierwiastków transuranowych do numeru jeden-dwadzieścia-osiem. Oczywiście wiele z nich było niestabilnych i można je było utrzymać tylko w specjalnych warunkach. Po katastrofie w Cambridge, Komisja zaczęła się nieco niepokoić całą tą sprawą.

Dlatego też założono Stację Transuranową tutaj, na Księżycu, gdzie ewentualny wybuch nie zaszkodziłby nikomu - z wyjątkiem samych naukowców. Chłopcy od rakiet dotarli na Księżyc przed 1951 rokiem i stwierdzili, że nie nadaje się on do niczego innego poza taką stacją. Zbudowano ją więc tutaj, na płaskiej powierzchni Mare Imbrium.

„Kopuła”, jak ją nazywaliśmy, obejmowała centralne pomieszczenia mieszkalne. Dla bezpieczeństwa w razie katastrofy, miała czterdziestostopowe ściany, które powinny zatrzymać każde promieniowanie, o jakim kiedykolwiek słyszano. Laboratoria były porozrzucane luźno wokół niej, jak planety wokół słońca, połączone z nią podziemnymi tunelami wypełnionymi powietrzem. Wielkie stosy atomowe i „kaniony” separacyjne znajdowały się pod ziemią i były w pełni wyposażone w układy zdalnego sterowania.

Całe miejsce zapewniało warunki zbliżone do ziemskich, z magnetycznymi podłogami, które kiedy nosiło się buty ze stalową podeszwą, działały mniej więcej jak normalna grawitacja. Mimo to mężczyźni i kobiety nie byli w stanie wytrzymać tam dłużej niż sześć miesięcy bez szkody dla organizmów. Stanowiliśmy drugą zmianę naukowców pracujących na stacji.

Zaczęliśmy w punkcie, w którym skończyła pierwsza zmiana, od pierwiastka transuranowego numer jeden-trzydzieści-sześć. A przy Zariasie, któremu robota paliła się w rękach, doprowadziliśmy serię nowych pierwiastków aż do sto czterdziestego czwartego, przy czym ostatni z nich właśnie został wyodrębniony. Wyglądało na to, że pracujemy obecnie nad bardziej stabilną serią pierwiastków.

Dlatego Andersen trochę mnie zirytował, opowiadając, że nowe pierwiastki stanowią wyzwanie dla normalnego kosmosu.

— Wszystko, co robi człowiek, jest takim wyzwaniem — powiedziałem mu następnego dnia w jego laboratorium. — Kiedy po raz pierwszy wytopił żelazo lub wysłał wiadomość radiową, było tak samo.

Andersen pokręcił przecząco głową.

— Niezupełnie tak samo, Drummond. Żelazo czy też drgania elektromagnetyczne zawsze występowały w naturze. My je tylko wykorzystaliśmy. Ale te pierwiastki transuranowe nigdy wcześniej nie istniały.

Zanim zdążyłem podjąć dalszy spór, interkom w jego laboratorium zabrzęczał głosem Zariasa.

— Drummond! Andersen! Chodźcie tutaj, pokażę wam coś!

W pośpiechu przeszliśmy przez tunele do głównego laboratorium fizycznego. Było tam już z pół tuzina innych osób - Marie Laurent, Burris, Varez i inni.

— Popatrzcie na panel komory N! — krzyknął na nas Zarias.

Kontrolki zdalnego sterowania, które obsługiwały całą maszynerię w „kanionach” i zakopanych pod ziemią komorach poza laboratoriami, były skoncentrowane na jednej ścianie głównego laboratorium fizycznego. Nad kontrolkami każdej odległej komory znajdował się panel z miernikami rejestrującymi i ekranem televizora.

Najpierw zerknęliśmy na ekran. W komorze N znajdowała się z grubsza owalna masa płowego metalu o średnicy stopy.

— Pierwiastek jeden-czterdzieści-cztery, co? — rzuciłem do Zariasa. — Dużo go wydzieliłeś.

— Spójrzcie na te mierniki promieniowania! — krzyknął. — Na mierniki, nie na ekran!

Spojrzeliśmy i oniemieliśmy. Wskaźniki pokazywały, że promieniowanie wylewało się przez ściany komory N.

— Jasna cholera! — zawołał Burris. — Komora N przecieka jak sito!

— Niemożliwe! — wykrzyknęła Marie Laurent, z osłupieniem w swych niebieskich oczach. — Te ściany powinny zatrzymywać wszystko, od alfa do neutronów! Pozwól mi to sprawdzić!

Kiedy ona i Burris, nasza dwójka ekspertów od promieniowania, zakończyła to sprawdzanie, wyglądała na jeszcze bardziej osłupiałych niż wcześniej. Marie w oszołomieniu odgarnęła do tyłu jakiś niepokorny kosmyk swoich grubych blond włosów.

— Promieniowanie pierwiastka jeden-czterdzieści-cztery jest czymś zupełnie nowym! — oznajmiła z niedowierzaniem. — Znajduje się bardzo

nisko, w minus czterdziestej czwartej oktawie i przebija się przez te promienioodporne ściany jak przez papier!

Zarias zaczął kląć. Przeklinał po grecku, a prawie nigdy tego nie robił. Wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest zdenerwowany.

— Natknęliśmy się na coś nowego, może to źle, a może dobrze, ale to coś nowego! — dokończył. — Nowy rodzaj promieniowania!

Przez cały ten czas Andersen stał za mną, wpatrując się pustym spojrzeniem w wizor komory N. W naszym podekscytowaniu nie zwracaliśmy na niego uwagi. Jednak teraz, gdy stanęliśmy oszołomieni i milczący, przemówił. Mówił w dziwny, urywany sposób, jego oczy były utkwione w ekranie televizora.

— Musimy przenieść ten zapas jeden-czterdzieści-cztery i wielu innych pierwiastków transuranowych z komór, do tego laboratorium — oznajmił.

Burris wydał z siebie krzyk.

— Oszalałeś? To nowe promieniowanie może wywołać na tyle nieprzewidywalną aktywność w innych pierwiastkach, że dojdzie do wielkiego reakcji rozszczepienia!

Andersen tylko popatrzył na niego mętnym wzrokiem.

— Musimy to zrobić — mruknął. — Narodził się, ale wciąż jest bardzo słaby. Musimy pomóc wzrosnąć mu w siłę, inaczej umrze.

Zapadła skręcająca żołądek cisza. A w niej całe podekscytowanie nieoczekiwanym odkryciem opadło z nas zupełnie.

ROZDZIAŁ II
Wtargnięcie obcych

Wiedzieliśmy, co się stało. Przydarzyło się to trzem naukowcom z pierwszej zmiany na Stacji Transuranowej. Kompletnie się załamali i dlatego na naszej zmianie był psycholog.

Teraz zdałem sobie sprawę, że powinniśmy przewiedzieć to po tym, co Andersen wygadywał poprzedniej nocy. Oczywiście wtedy wydawał się normalny. Ale teraz jego oszołomione, szczere spojrzenie i powolna, szalona mowa oznaczały tylko jedno.

Varez podszedł do niego i odezwał się cicho.

— Być może masz rację, Nils. Pójdziesz i porozmawiasz o tym ze mną?

Andersen popatrzył na niego z powagą.

— Rozumiesz, Ramon? Ono potrzebuje sił. Musimy mu pomóc.

— Trochę rozumiem — odparł Varez, obejmując Duńczyka ramieniem. Poszedł z nim w stronę drzwi. — Chcę, żebyś mi to wszystko wyjaśnił.

I wtedy cała praca Vareza została niemal zniweczona przez doktora Cubbisona. Stanął w drzwiach, a jego wysoki, zgrzytliwy głos zaczął narzekać.

— Naprawdę, doktorze Andersen, jestem zaskoczony pańską absurdalną sugestią! Naprawdę wydaje mi się, że muszę to zgłosić Komisji.

— Dosyć tego — powiedział Varez łagodnym głosem, w którym jednak zabrzmiało coś, co natychmiast uciszyło Cubbisona.

Jednak kiedy Varez i Andersen odeszli, Cubbison zaczął od nowa.

— To nowe promieniowanie musi być natychmiast zostać wytłumione! — narzekał. — Proszę się tym natychmiast zająć, doktor Laurent! Wyślę raport do Nowego Jorku.

Ten rozkaz był w jego stylu. Polecenie Marie natychmiastowego opracowania osłony przed promieniowaniem, o którego istnieniu nikomu się wcześniej nawet nie śniło, było czymś absolutnie do niego podobnym. Ale bez słowa protestu zaczęła przy pomocy zdalnego sterowania wykonywać przekrojowe testy wychwytywania dla różnych materiałów osłonowych.

Do wieczora - na Stacji obowiązywał czas ziemski - promieniowanie z pierwiastka jeden-czterdzieści-cztery wciąż pozostawało zagadką. Wciąż wydostawało się z komory, choć oczywiście nie było w stanie przebić się do kopuły. Marie i Burris przez cały dzień wykonywali przekrojowe testy wychwytywania.

W czasie kolacji, w kopule, Zarias był bardzo zdenerwowany. Był zdenerwowany, ponieważ to nowe promieniowanie nagle podcięło grunt pod całą fizyką, którą tak dobrze znał.

— Jesteśmy dokładnie w miejscu, w którym pięćdziesiąt lat temu byli Curie i Rutherford! — powtarzał. — Stoimy na skraju niezbadanego terytorium!

Marie Laurent podczas kolacji milczała, a potem zobaczyłem, jak wchodzi po schodach na punkt widokowy. Poszedłem za nią i zastałem ją wpatrującą się przez okno filtrujące w jaskrawą, upiorną pustynię Mare Imbrium, nad którą unosiła się ciemnozielona tarcza Ziemi.

Mówią, że kiedy człowiek zgłasza się na służbę w Stacji Transuranowej, cały pierwszy dzień spędza na punkcie widokowym, wpatrując się z zachwytem w okolicę, a potem nigdy więcej tam nie wchodzi. To niemal była prawda – powiew świeżości spowodowany pobytem na Księżycu szybko powszedniał, gdy nic tam się nie zmieniało.

Marie odwróciła się i uśmiechnęła do mnie.

— Mogłeś poczekać choć na tyle długo, by twoje przybycie tutaj wyglądało na przypadkowe, Frank.

— A dlaczego u licha miałbym to robić? — odparłem. — Wszyscy na stacji wiedzą, że się za tobą uganiam.

Nie sprzeciwiła się, gdy ją pocałowałem. Lubiłem chłodną jędrność jej warg i ciepłą jędrność jej ciała w moich ramionach, a także sposób, w jaki niepokorny kosmyk jej ciemno-blond włosów opadał jej na czoło.

Nie była ładna. Miała zbyt szerokie usta, a jej twarz była odrobinę za silna. Nie, nie była ładna, ale była piękna.

Odepchnęła mnie.

— Trochę za bardzo zaczyna mi się to podobać, Frank.

— Chciałbym, żebyś traktowała mnie poważnie — poskarżyłem się.

Roześmiała się.

— Bądź rozsądny! Mam dwadzieścia dziewięć lat, a ty dwadzieścia siedem, jestem bardzo prostą dziewczyną i w ogóle się nie znamy. To tylko niewinny flirt.

Byłem zirytowany, bo zawsze odpychała mnie w ten sposób. Ale zanim zacząłem się z nią spierać, usłyszeliśmy kroki na schodach. To Varez wszedł do pomieszczenia obserwacyjnego. Uśmiechnął się do nas w swój spokojny sposób. Był ciemnoskórym, łagodnym Kostarykaninem, którego wszyscy polubiliśmy.

— Oto człowiek, z którym chciałem się zobaczyć — oznajmiłem. — Mam poważny problem emocjonalny. To Marie.

— Cóż mogę na niego poradzić, Drummond? — odparł.

Marie roześmiała się.

— Prawdopodobnie Frank chciałby, żebyś kazał mi spędzić z nim weekend, kiedy wrócimy na Ziemię.

— Wy, Francuzi, wszyscy macie złe umysły — powiedziałem jej. A potem poprosiłem Vareza: — Powiedz jej, że musi za mnie wyjść.

Varez zaśmiał się cicho.

— Stacja Transuranowa jest podobna do nieba tylko pod jednym względem – małżeństwo nie jest tu dawane w prezencie. Nie mogę ci pomóc, Drummond.

Nagle dotarło do mnie, że wyglądał na zmęczonego i przygnębionego.

— Co z Nilsem? — spytałem. — Czy wszystko z nim w porządku?

— Nie wiem — wymamrotał psycholog.

Popatrzył przez okno na linię terminatora pełznącą niczym fala ciemności po upiornej księżycowej równinie. W blasku Ziemi odległe kratery rysowały się ostrymi krawędziami na tle usianego gwiazdami nieba.

— Czy możesz nam powiedzieć, co Andersen miał na myśli, wygłaszając tę przemowę w laboratorium? — Marie spytała poważnie.

Varez odwrócił się powoli w naszą stronę.

— To wszystko jest dosyć niezrozumiałe. Na początku mówił jedynie o czymś zwanym „To”. Narodziło się i musiało rosnąć. Potrzebowało sił.

Zmarszczył brwi.

— Kiedy próbowałem zagłębić się w temat, do niczego nie udało mi się dotrzeć. Próbowałem hipnozy, ale nie zadziałała. Zdziwiło mnie to, bo Andersen wydawał się podatnym człowiekiem. W końcu podałem mu środek uspokajający i zostawiłem go, by się przespał.

Marie milczała przez chwilę.

— Myślisz, że to może mieć jakiś związek…

Przerwały jej szybkie kroki na małych, stalowych schodach. Do pomieszczenia widokowego wpadł Carew, postawny młody Anglik, który był asystentem Zariasa. Wyglądał na zdenerwowanego.

— Doktorze Varez, pomyślałem sobie, że powinien pan o tym wiedzieć! Właśnie widziałem doktora Andersena wchodzącego do głównego laboratorium fizycznego! Oczywiście to nie moja sprawa, ale słyszałem o

tym, co się dzisiaj wydarzyło, a on wyglądał tak dziwnie i był wyraźnie oszołomiony!

Wszyscy troje byliśmy zaskoczeni.

— Lepiej złapmy go jak najszybciej — wykrzyknął Varez.

Zbiegliśmy po schodach, a Burris i Mathers, główny matematyk Stacji, dołączyli do nas, gdy pędziliśmy przez Kopułę do głównego tunelu prowadzącego do laboratoriów. Burris miał napiętą twarz.

— Ten jego szalony pomysł, by połączyć ze sobą wiele pierwiastków transuranowych - gdyby tego spróbował…

— Tędy! — krzyknął Zarias, jego dobiegający z przodu głos brzmiał jak zduszony. — Szybko!

Wpadliśmy do dużego głównego laboratorium fizycznego. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyliśmy, był Zarias szamoczący się przy jednej ze ścian. Jego twarz była śmiertelnie biała, a na czole miał krew.

Po drugiej stronie pomieszczenia Andersen pracował jak szalony przy pomocy zdalnie sterowanych urządzeń, służących do mechanicznego przenoszenia pierwiastków transuranowych z komór bezpieczeństwa do laboratorium. Duńczyk miał pusty, nieobecny wyraz twarzy, gdy szarpał jeden po drugim przełączniki przenośników.

Burris zaczął coś krzyczeć, gdy biegliśmy naprzód. Usłyszałem zgrzyt kół zębatych i zobaczyłem ołowiane tace wysuwające się z przenośników na stojaki, tace z tuzinem różnych nowych pierwiastków transuranowych.

Taca z owalną bryłą pierwiastka jeden-czterdzieści-cztery właśnie wyjechała, gdy biegłem do przodu. Natychmiast ten płowy metal rozjarzył się migotliwym blaskiem światła, które zdawało się docierać do pozostałych tac.

Zarias krzyknął za mną.

— Powstrzymaj go, zanim przeniesie…

Muszę teraz ostrożnie dobierać słowa. To, co wydarzyło się w następnej chwili, wciąż nie utrwaliło się zbyt wyraźnie w mojej pamięci. W powietrzu pojawiło się nagłe uczucie napięcia. To było przeczucie, szósty zmysł, który czasami przeszywa radiologa tuż przed wybuchem.

— Uwaga! — krzyknął Burris i wiedziałem, że on też to poczuł.

I wtedy to do nas dotarło. Nie próbuję wyrażać się w przesadnie tajemniczy sposób. Po prostu było to coś tak nieziemskiego, że trudno mi to opisać. Przez moje ciało przeszło uczucie mrowienia i w tym samym momencie coś wdarło się w mój umysł. Mam na myśli to, że poczułem obcą ingerencję w moje myśli.

Chcę być precyzyjny. I wiem, że to, co właśnie napisałem, może przywodzić na myśl fantastyczne historie o obcych istotach, delikatnie i zręcznie sondujących ludzki umysł. Wcale tak nie było. Najlepiej mogę to opisać w ten sposób - jeśli mój umysł był czymś w rodzaju skomplikowanego zegarka, to tym, co go chwyciło, była niepewna, macająca na ślepo ręka dziecka.

— Frank! — powiedziała niepewnie Marie, jej twarz straciła wszystkie barwy. A potem nagle krzyknęła. — Frank!

Człowiekiem, który nas wtedy uratował był Burris. Później opowiadał, że poczuł ten obrzydliwy, niezgrabny uścisk na umysł, tak jak my, ale jego poprzednie obawy o wybuch nadały mu znacznego fizycznego rozpędu, który go pociągnął.

W każdym razie to on nas wypchnął przez drzwi na korytarz. Nie pamiętam zbyt wiele z tej chwili. Jak przez mgłę pamiętam, jak Mathers, ze ściągniętą i dziwną twarzą, szedł sztywno w stronę Andersena, podczas gdy Duńczyk pracował przy urządzeniach sterujących komorami.

Nie pamiętam nic więcej, aż do chwili, gdy znalazłem się na korytarzu z Zariasem, Marie, Varezem i młodym Carewem i usłyszałem, jak Burris gorączkowo zatrzaskuje drzwi głównego laboratorium fizycznego. Uchwyt niesamowitych palców na moim mózgu ustał. Odwróciłem się chwiejnie i zobaczyłem młodego Carewa przyciśniętego do ściany korytarza.

— Co to jest? — zawołała Marie, z oczyma rozszerzonymi ze zgrozy. — Coś, co dotknęło naszych umysłów, to promieniowanie…

Wydaje mi się, że Zarias uratował nas w tym momencie przed załamaniem. Czarne oczy Greka płonęły teraz naukową pasją.

— Andersen miał rację - przeczuwał to od samego początku — zawołał. — Narodziło się - nowa i nieprawdopodobna forma życia! Życie transuranowe!

— Oszalałeś! — stwierdziła ochrypłym głosem Marie. — To może być tylko jakiś dziwny psychologiczny efekt tego nowego promieniowania!

— To nowe promieniowanie to życie! — zawołał zaciekle Zarias. — Życie, jakie nigdy wcześniej nie istniało w kosmosie, ponieważ same pierwiastki transuranowe nigdy wcześniej nie istniały! — Kontynuował, podczas gdy my staliśmy oszołomieni. — Czym jest życie naszego rodzaju? Czy to jest tylko siarka, fosfor, węgiel i inne pierwiastki naszych ciał? Wiecie, że nie. Istnieje pewna iskra, chemiczna iskra rozpalona dawno temu na pierwotnej Ziemi, która łączy te obojętne elementy w żywy organizm.

— Tak samo jest z nim. To nowe promieniowanie z pierwiastka jeden-czterdzieści-cztery jest taką iskrą - iskrą nigdy wcześniej nie istniejącą we wszechświecie. Iskrą, która urosła teraz z nadludzką szybkością, łącząc oddzielone elementy transuranowe w dziwne, rozproszone ciało fizyczne, którego nerwy tworzy niematerialne promieniowanie! Ciało i umysł! Na razie dopiero nowonarodzony umysł, ale już wystarczająco potężny, by zmusić Andersena do pomocy, by jego ciało rosło w siłę poprzez łączenie tych pierwiastków! A teraz…

Zarias nie miał szansy na dokończenie. Carew, wymiotując i zataczając się, wydał z siebie cienki, wysoki krzyk.

— Znowu tu jest! — Jego twarz wyglądała wręcz upiornie.

Moja twarz też musiała wyglądać podobnie, bo czułem w tamtej chwili to samo. Mrowiące, niematerialne dłonie na moim mózgu.

— Kopuła! — krzyknął Zarias. — Jest dostatecznie silny, by sięgnąć poza laboratoria, ale ściany Kopuły go powstrzymają!

ROZDZIAŁ III
Zaciskające się palce

Gdy potykając się gorączkowo, biegliśmy przejściem do kopuły, moje ramię obejmowało Marie. W biegu, Zarias włączył sygnał alarmowy, i w korytarzach rozebrzmiały dzwonki. Stopy zatupotały w tunelach do laboratoriów, a zaskoczone głosy zadawały gorączkowe pytania.

Ten ogólny alarm zatrzymał nas na chwilę przed drzwiami Kopuły. Niesamowite palce grzebały w naszych mózgach, a nas napędzało prymitywne, bezrozumne przerażenie.

Dopiero donośny huk zamykanych głównych drzwi przerwał to koszmarne doświadczenie. Znalazłem się w małym tłumie przy drzwiach. Byli tam prawie wszyscy mieszkańcy stacji, podekscytowani i oszołomieni.

Na miejscu pojawił się doktor Cubbison.

— Jaki jest powód tego powszechnego alarmu? Czy doszło do jakiegoś wybuchu?

Zarias zaśmiał się beztrosko.

— Doszło do wybuchu. Paskudnego. Narodziło się nowe życie. Pojawiło się coś obcego naszemu kosmosowi, coś, czego Natura nigdy nie zamierzała tu stworzyć, ale co my, sprytni mali ludzie, powołaliśmy do życia. Andersen miał rację zeszłej nocy! — Jego głos stał się głośniejszy. — W tej chwili znajduje się ono tam, w głównym laboratorium fizycznym! Co to jest? To dwadzieścia kilka kawałków pierwiastków transuranowych, uformowanych w zorganizowane ciało poprzez połączenie za pośrednictwem nerwów radiacyjnych, dzięki którym to stworzenie może myśleć, czuć i działać. Dopiero się narodziło, nie wie jeszcze zbyt wiele, ale wie, że chce rosnąć!

Cubbison wyglądał jakby kończyła mu się cierpliwość.

— Naprawdę, takie dramatyzowanie…

Zarias nagle się odprężył.

— Ma pan rację. To tylko dramatyzowanie. — Rozejrzał się dookoła. — Jesteśmy naukowcami. Mamy problem do rozwiązania. I musimy sobie z nim szybko poradzić, zanim nas wykończy.

— Jakie może być realne zagrożenie? — spytał z powątpiewaniem Cubbison.

— Nie czuł pan tych palców promieniowania macających pański umysł? — odpowiedziała pytaniem Marie.

Burris wrócił zza kopuły, potykając się.

— Sprawdziłem główny panel rejestrujący — oznajmił ochrypłym głosem. — Wszystkie kaniony pracują na pełnych obrotach. Andersen musi je obsługiwać!

Zarias mówił teraz szybko i chłodno.

— To coś się narodziło i chce rosnąć. I będzie rosnąć, wykorzystując Andersena, Mathersa i każdego innego człowieka, którego uda mu się złapać, by stworzyć więcej pierwiastków transuranowych, formować z nich

coraz większe ciało, aż jego promienisty umysł będzie mógł sięgnąć nawet przez ściany kopuły, a może nawet do innych światów!

Wtedy poczułem pełne uderzenie przerażenia. Zdałem sobie sprawę, że przygotowaliśmy grunt pod narodziny życia składającego się z promieniowania i pierwiastków promieniotwórczych, które nie mogło dzielić kosmosu z naszym rodzajem życia.

— Może urosnąć do kolosalnych rozmiarów, ale w tej chwili ciągle jeszcze nie jest kolosalny — mówił dalej Zarias. — To tylko noworodek, obmacujący otoczenie, szukający. Musimy go zabić, zanim stanie się większy.

— Ale jak? — zawołała Marie. — Jak można zabić coś, co składa się z pierwiastków chemicznych i promieniowania?

Grek zacisnął zęby.

— Musimy wrócić do głównego laboratorium fizycznego i rozbić jego ciało, odsyłając pierwiastki z powrotem do ich komór. Następnie możemy użyć ładunków awaryjnych do wysadzenia komór i w ten sposób go zniszczyć.

Popatrzył na Marie i Burrisa.

— Będziemy potrzebować osłon, aby utrzymać to promieniowanie z dala od naszych mózgów. Co najlepiej je zatrzyma?

— Myślę, że beryl — odpowiedział Burris. — Wygląda na to, że to zawarty w ścianach kopuły beryl chroni nas przed promieniowaniem. Ale nie da się zrobić hełmów ochronnych z berylu o grubości stopy.

— Obłożymy hełmy antyradiacyjne berylem tak grubo, jak tylko się da — odparł Zarias — i zaryzykujemy.

Cubbison w końcu miał szansę dojść do głosu. Mówił z tak niewielkim podekscytowaniem, jakby to wszystko było zwykłym, irytującym wypadkiem.

— To wszystko jest bardzo irytujące! Będę musiał natychmiast wysłać wiadomość do Nowego Jorku. W międzyczasie pozostawiam ten problem panu, doktorze Zarias.

Odszedł pospiesznie, a Burris zaśmiał się kwaśno.

— Gdyby wszechświat miał się skończyć, wysłałby wiadomość do Nowego Jorku.

Zostawiliśmy Marie, by obserwowała rejestrowane parametry i informowała nas, co Andersen i Mathers robią w laboratorium. Gdy pracowaliśmy nad hełmami, świadomość, że ci dwaj byli marionetkami pracującymi w uścisku Niesamowitego Stwora, była okropnym koszmarem prześladującym nasze myśli.

Oczywiście cała stacja kipiała z podniecenia. Wszyscy kłębili się wokół zaimprowizowanego warsztatu, gdzie my i technicy trudziliśmy się, by pokryć trzy hełmy antyradiacyjne jak najgrubszymi warstwami berylu.

Wszyscy już wiedzieli, że w głównym laboratorium fizycznym doszło do jakiegoś wypadku, lecz prawda wciąż była dla nich zbyt nieprawdopodobna. Idea narodzin na naszych oczach nowego życia

transuranowego, stworzenia zbudowanego z promieniowania i nowych, nieziemskich pierwiastków, które nagle stało się naszym straszliwym wrogiem, była dla nich zbyt wielkim wyzwaniem. Sądzili, że to po prostu była jakaś wpadka Andersena.

— Może ochronią nas na tyle długo, byśmy zdołali dostać się do komory — mruknął Zarias, przyglądając się naszym topornym hełmom, kiedy je skończyliśmy.

Kiedy wróciliśmy do wejścia prowadzącego do laboratorium korytarza, podszedł do nas Cubbison. Jego okulary błyszczały niepokojąco w naszą stronę.

— Rozmawiałem z Nowym Jorkiem i ustaliłem z Komisją sprawy na wypadek jakichkolwiek problemów — oznajmił.

— Co pan ma na myśli, mówiąc o problemach? — warknął Zarias. — Mamy już całkiem spory.

— Chodzi mi o to, że możemy nie poradzić sobie z tym transuranowym czymś — odpowiedział nerwowo Cubbison. — Może nas wszystkich opanować, tak jak Andersena i Mathersa. W takim przypadku wszyscy zaczniemy pracować, by pomóc mu w rozrastaniu się. Komisja natychmiast wysyła dwie rakiety, aby ewakuować cały personel stacji, jeśli sytuacja tutaj stanie się niemożliwa do opanowania. Jednakże w przypadku, gdybyśmy zostali zniewoleni przez Stworzenie, zanim rakiety zdążą tu dotrzeć, i nie uda nam się nawiązać inteligentnej komunikacji przez televisor, rakiety zrzucą na Stację bomby plutonowe.

Wpatrywaliśmy się w niego.

— Mówi pan o zniszczenie stacji? — spytał Burris. — Zniszczeniu nas wszystkich?

Cubbison skinął głową, marszcząc brwi.

— To godne pożałowania, ale trzeba będzie tak postąpić, jeśli to Stworzenie okaże się dla nas zbyt potężne, zanim przylecą rakiety. Nie możemy ryzykować, że jego moc wydostanie się poza Księżyc.

Twarz Zariasa zmieniła się, podszedł do Cubbisona i chwycił go za dłoń.

— Chciałbym powiedzieć, że bardzo pana przepraszam, sir — powiedział cicho Grek.

— Przeprasza mnie pan? — Cubbison spytał z irytacją. — Za co? Naprawdę, doktorze Zarias, wyraża się pan bardzo niejasno.

Ale my wiedzieliśmy, co Zarias miał na myśli - wszyscy wiedzieliśmy, ponieważ wszyscy czuliśmy ten sam wstyd co i on, z powodu błędnej oceny stojącego przed nami człowieka. Pompatyczny, próżny, nadęty - tak, Cubbison posiadał wszystkie te cechy. Nie podejrzewaliśmy jednak, że był najlepszym naukowcem i najlepszym człowiekiem z nas wszystkich.

Teraz już wiedzieliśmy! Wiedzieliśmy, że to nie jakieś biurokratyczne intrygi skłoniły Komisję do postawienia go na czele Stacji. Wiedzieliśmy i było nam wstyd.

Nie sądzę, by Cubbison miał choćby mgliste pojęcie, o czym myśleliśmy.

— A teraz, doktorze Zarias — kontynuował energicznie — proszę mi wyjaśnić, jak zamierza pan rozprawić się z tym Stworzeniem.

— Musimy się pospieszyć, zanim stanie się silniejsze — wyjaśnił Zarias. — Burris, Drummond i ja założymy te hełmy z berylową osłoną. Powinny one wytrzymać promieniowanie na tyle długo, by pozwolić nam wepchnąć pierwiastki transuranowe z powrotem do ich komór, a tym samym rozbić ciało Stworzenia.

— A jeśli hełmy nie wytrzymają? — spytała z niepokojem Marie.

Nikt jej nie odpowiedział. Nie było o czym mówić.

Młody Carew stał gotowy przy drzwiach korytarza laboratorium, gdy zakładaliśmy hełmy na głowy i dopasowywaliśmy je tak, by widzieć przez szybki ze szkła ołowiowego. Potem przykucnęliśmy przy drzwiach jak sprinterzy przed startem.

Serce waliło mi jak młotem i nie wstydzę się przyznać, że strasznie się bałem. Cokolwiek znajdowało się w głównym laboratorium fizycznym, nie było to nic, z czym człowiek miałby do czynienia kiedykolwiek wcześniej. A jeśli nam się nie uda…

Carew nie dał mi więcej czasu na rozmyślania na ten temat. Otworzył ciężkie drzwi, przeszliśmy przez nie i zatrzasnęły się za nami. Pobiegliśmy korytarzem do głównego laboratorium fizycznego, a mnie ogarnęło szalone uniesienie, bo poza mrowieniem w całym ciele nie czułem niczego niezwykłego.

— Stworzenie nas nie atakuje! — usłyszałem stłumiony krzyk Burrisa. — Uda nam się!

Nie wiem, czy to jego krzyk, czy fakt, że w tym momencie wpadliśmy do głównego laboratorium fizycznego, spowodował że Stworzenie zaatakowało. Prawdę mówiąc, w ogóle nie pamiętam zbyt wiele z następnych kilku minut. Przypominam sobie, że kiedy wbiegliśmy do laboratorium, Mathers i Andersen pracowali w ten sam otępiały, mechaniczny sposób przy urządzeniach sterujących kanionami.

I przypominam sobie, że porozkładali ołowiane tace, zawierające drobne kawałki lub wielkie sterty świecących pierwiastków transuranowych, w dziwny kolisty wzorzec wokół przenośnika taśmowego, na którym wciąż spoczywała taca z promieniującym pierwiastkiem jeden-czterdzieści-cztery. Pomiędzy pierwiastkiem jeden-czterdzieści-cztery i pozostałymi pierwiastkami pulsowało i tętniło migotliwe promieniowanie jego nerwów.

— Jeden-czterdzieści-cztery to mózg – jego najpierw odeślij z powrotem do komory! — krzyknął Zarias, gdy rzuciliśmy się w głąb laboratorium.

I wtedy na nas uderzył. To już nie były te palce promieniowania, które obmacywały na ślepo nasze mózgi, za pierwszym razem. Teraz te niematerialne palce stały się silniejsze i już nie macały.

Chwyciły nasze umysły i przytrzymały je. Wciąż byłem przytomny, wciąż byłem Frankiem Drummondem, ale już nie miałem ciała. To Stworzenie trzymało mój mózg i ciało. Czułem wpływ jego umysłu. Nie czuło się w nim nienawiści, strachu ani pasji. Tylko zdumienie.

Podniosło nas, trzech mężczyzn, podniosło nas za nasze mózgi, tak jak dziecko czasami podnosi szczenięta za skórę na karku i ze zdziwieniem je

bada. W tym niematerialnym uścisku na moim mózgu można było wyczuć dziwną i obcą czystość. Było ono tak czyste i obce jak światło gwiazd.

Wiedziałem, że ponieśliśmy porażkę, a ta część mnie, która wciąż była Frankiem Drummondem, cierpiała z tego powodu. Potem nastąpiło zderzenie.

Burris rzucił się tak szaleńczo do laboratorium, że wpadł na Mathersa o pustej twarzy, nawet po tym, jak Stworzenie nas pochwyciło.

Uścisk na moim mózgu nagle się rozluźnił. Zderzenie zaskoczyło je lub na chwilę odwróciło jego uwagę.

— Wiejemy, Drummond! — wrzasnął Zarias.

Wyciągnął mnie z powrotem przez drzwi laboratorium i zatrzasnął je. Natychmiast Stworzenie ponownie chwyciło mnie za mózg. Ale przez te ciężkie drzwi, przez nasze hełmy, uścisk nie był już tak silny. Tutaj, na korytarzu, mogliśmy z nim walczyć.

— Burris! — wykrztusiłem, ale Grek wściekle popchnął mnie z powrotem korytarzem w kierunku Kopuły.

— Nie damy rady! Jest stracony! Jeszcze chwila i my też będziemy!

ROZDZIAŁ IV
Niszczycielska „zabawka”

Wydaje mi się, że nie dostalibyśmy się do Kopuły, gdyby Carew nie usłyszał, że nadbiegamy i nie otworzył drzwi na czas. Trzask cięższych drzwi Kopuły natychmiast wyrwał z naszych umysłów ten ohydny, dziwny, obcy uścisk.

Potknąłem się i byłbym upadł, gdyby nie mocne ramię Marie. Twarz Zariasa gdy zdjął hełm była wściekła, a ja wiedziałem, jak musi wyglądać moja.

— Burris? — spytał cicho Ramon Varez.

— Został tam — wycharczał Grek. — Pracuje teraz dla niego razem z Mathersem i Andersenem. Wkrótce może będziemy tam wszyscy! — Opanował się i przerwał. — Na niebiosa, nie! Żaden Stwór z minerałów i promieniowania nie pokona ludzi! Znajdziemy sposób!

— A więc hełmy zawiodły? — spytał Cubbison z niepokojem.

— Za cienkie — przytaknął Zarias. — Potrzeba stopy berylu, by nas ochronić. Musimy zbudować pancerz, który będziemy mogli nosić w laboratorium. I będziemy musieli zrobić to szybko.

Grek był niezłomny. W ciągu następnych godzin harował wraz z innymi, gdy wszystkie urządzenia robocze, które mieliśmy w Kopule, zostały skierowane do najważniejszego zadania, jakim było stworzenie berylowego pancerza o grubości stopy. Beryl jest lekki, ale mimo to skafandry będą ciężkie i masywne. Ale jeśli nam się uda, nie będziemy musieli dźwigać ich daleko.

Chciałbym móc powiedzieć, że pracowałem równie ciężko jak Zarias. Tak jednak nie było. Przez następne parę godzin byłem za bardzo chory i roztrzęsiony. Tylko wstyd sprawił, że w końcu przezwyciężyłem to i rzuciłem się w wir pracy razem z innymi.

— Tym razem ja pójdę. I może Carew oraz Blauner pójdą ze mną — zaoferował się Ramon Varez.

Zarias uciął dyskusję.

— Nie! Drummond i ja pójdziemy jeszcze raz i tym razem zabijemy tego Stwora albo nie wyjdziemy stamtąd!

Jestem mu dozgonnie wdzięczny za jego słowa. Do tej pory czułem, że nie odważę się ponownie stawić mu czoła. Ale po nich wiedziałem, że muszę.

Mijały godziny. Nasz ziemski harmonogram poszedł w zapomnienie. Mieliśmy do dyspozycji raport Marie z rejestratorów, z którego wynikało, że Stworzenie musi stale rosnąć, ponieważ kaniony nieustannie pracowały nad zwiększeniem ilości pierwiastków transuranowych, które stanowiły jego ciało.

Pancerze były gotowe, surowe, masywne i lśniące. Zarias przedstawił Varezowi i mnie swój plan.

— Wszyscy trzej spróbujemy zrobić to samo - odesłać tacę z pierwiastkiem jeden-czterdzieści-cztery z powrotem do jego komory i wysadzić komorę. Jeden-czterdzieści-cztery to centrum mózgowe Stworzenia, centrum życia. To jego jedyny wrażliwy punkt.

Marie przerwała nam okrzykiem, w którym słychać było tak wielkie przerażenie, że odwróciliśmy się gwałtownie w stronę, gdzie stała, przy urządzeniach pomiarowych. Wskazała na mierniki.

— Spójrzcie! Promieniowanie przenika już do kopuły!

Spojrzeliśmy. To była prawda. Nowe promieniowanie, promieniowanie, które stanowiło jego siłę nerwową i wolę, pojawiło się na miernikach. W tym samym momencie poczuliśmy słabe, obce mrowienie tego promieniowania w naszych ciałach.

— Jeśli przenika nawet przez ściany kopuły — wykrztusił Carew — to jest obecnie tak silne…

— Tak silne, że nasz berylowy pancerz o grubości stopy nie przyda się bardziej niż osłona z papieru! — dokończyłem zachrypniętym głosem.

Wiedzieliśmy, co się stało. Kilka godzin wcześniej pancerz byłby skuteczny. Ale w ciągu tych paru godzin, kiedy pracowaliśmy, Stworzenie stawało się coraz większe i silniejsze. Teraz było zbyt silne dla jakiegokolwiek pancerza. Wkrótce będzie zbyt silne nawet dla masywnych ścian Kopuły.

— Jesteśmy załatwieni — oznajmił Carew i usiadł ciężko, chowając twarz w dłoniach.

Szczupłe ramiona Cubbisona nieco opadły.

— Obawiam się, że sytuacja jest zła. Zanim rakiety zdążą tu dotrzeć, by nas zabrać, ono będzie kontrolować wszystkich w kopule. A kiedy to się stanie…

Kiedy to się stanie, kiedy wszyscy będziemy bezmyślnymi marionetkami, które nie będą w stanie odebrać sygnału z televizora. Rakiety wykonają rozkazy Cubbisona i zniszczą nas razem ze Stacją.

— Nie poddam się bez walki! — wściekał się Zarias. — Idę tam!

Zaczął wkładać na siebie pancerz. Ale Ramon Varez złapał go za ramię.

— Zarias, zaczekaj! — krzyknął Kostarykanin. — Wciąż jest szansa, jeśli pozwolisz mi spróbować! Strategia oparta na psychologii.

Zarias zaśmiał się ponuro.

— Nasze dziedziny nauki pozostają naszymi pasjami aż do samej śmierci. Dzięki, Ramon. Ale twoja psychologia na nic się nie zda w starciu ze Stworzeniem, która nie żyje ani nie myśli tak jak my.

— Niektóre podstawowe zasady psychologii są takie same dla każdego rodzaju istoty żywej! — nalegał Varez. — Pozwól mi spróbować! To zajmie tylko kilka minut!

Pobiegł przez kopułę. Nie oglądaliśmy się za nim. Patrzyliśmy na siebie otępiali i zmęczeni.

Marie podeszła do mnie i stanęła tuż obok. To, co zobaczyłem w jej oczach, powinno sprawić, że czułem się szczęśliwszym, ale tak się nie stało. Dręczyła mnie myśl o tym, co oboje stracimy.

Varez przybiegł z powrotem. Miał ze sobą przenośny emiter promieniowania, jeden z kompaktowych zestawów, które mogą emitować promieniowanie dowolnego typu i są używane do sprawdzania osłon ochronnych.

— Kiedy wejdziemy do laboratorium — wyjaśnił z zapałem — użyję tego urządzenia, by wystrzelić w niego po kolei wszystkimi rodzajami promieniowania.

— I co to da? — zawołał Zarias. — Te słabe wiązki testowe w życiu mu nie zaszkodzą!

— Daj mi szansę spróbować mojego planu — błagał Varez. — Nie mamy nic do stracenia. Pójdę tam z wami i podczas gdy ja użyję przeciwko niemu emitera, ty i Drummond możecie spróbować wepchnąć pierwiastek jeden-czterdzieści-cztery z powrotem do jego komory.

Grek wzruszył ramionami.

— I tak mieliśmy tam wejść. Możesz zabrać swój zwariowany gadżet, jeśli chcesz.

Wszedłem do pancerza, nie patrząc na Marie. Wiedziałem, że jeśli na nią spojrzę, nie wejdę do laboratorium.

Varez i Zarias byli w swoich skafandrach. Varez trzymał emiter promieniowania w jednej z przegubowych berylowych rąk. Zarias wykonał niezdarny wymach.

— No, dalej! — zabrzmiał jego stłumiony głos.

Carew otworzył drzwi i cała nasza trójka ruszyła korytarzem.

Promieniowanie Stworzenia spadło na nas potężnym uderzeniem, gdy tylko dotarliśmy do drzwi głównego laboratorium fizycznego. Urosło, to prawda - i teraz jego promieniująca wola zatrzymała nas w miejscu.

Znów poczułem ten czysty, obcy uścisk na moim umyśle i wiedziałem, że nigdy nie dam rady się od niego uwolnić. Widziałem Mathersa, Andersona i Burrisa trudzących się nad urządzeniami sterowniczymi kanionu, które nieustannie powiększały Stwora, i wiedziałem, że będę tak harował razem z nimi, dopóki bomba plutonowa mnie od tego nie uwolni.

I wtedy, niespodziewanie, uchwyt Stworzenia na naszych umysłach w niesamowity sposób się rozluźnił. Poczułem, jak jego umysłowy uścisk zmienia się, ze zdziwienia, zainteresowania i kompletnego zachwytu. Zachwytu nad rzeczą, którą trzymał Varez, emiterem, z którego tryskał niewidzialny kalejdoskop promieniowania w ciągle zmieniającym się wzorcu! W tym momencie jego uwaga była całkowicie pochłonięta tą wspaniałą rzeczą.

— Teraz! — wrzasnął Zarias i we dwóch rzuciliśmy się przed siebie przez laboratorium.

Moja dłoń uderzyła w przełącznik przenośnika komory N. Rozległ się zgrzyt kół zębatych i taca z pierwiastkiem jeden-czterdzieści-cztery zaczęła szybko zsuwać się ze stojaka do rury.

Zdziwienie, zachwyt, wszystkie emocje umysłu Stworzenia natychmiast zmieniły się w alarm! Poczułem jego myśli jako nagłą falę zranionego strachu. A potem fala ta zaczęła słabnąć, zanikać, gdy pierwiastek, który był mózgiem-centrum dziwnego życia Stworzenia, oddalał się od schematu jego nieziemskiego ciała, ześlizgiwał się coraz dalej, z powrotem do odległej, zakopanej w ziemi komory.

— Wysadzajcie! — krzyknął Varez, a ręka Zariasa sięgnęła do kolejnego przełącznika i przesunęła jego dźwignię.

Rozległ się głuchy, odległy ryk i cała stacja zatrzęsła się, gdy tonitowy ładunek wybuchowy, umieszczony pod każdą komorą na wypadek sytuacji awaryjnych, rozerwał na strzępy komorę N i znajdujący się w niej pierwiastek jeden-czterdzieści-cztery.

A potem w laboratorium zapadła cisza, w której zdałem sobie sprawę z tego, że Andersen i Burris leżą bez zmysłów na podłodze, a Mathers stoi i patrzy tępo na swoje ręce. Znikła mrowiąca siła, zniknął wpływ umysłu Stworzenia, zniknął migotliwy blask jego promieniujących nerwów. Nie pozostało tu nic poza dziwnie ułożonymi tacami z pierwiastkami transuranowymi, pierwiastkami jeszcze przed chwilą tworzącymi dziwne żywe ciało, które teraz było już martwe.

Poczułem, jak inni tłoczą się w laboratorium i pomagają mi zdjąć pancerz. Marie płakała, tuląc się do mnie.

— Jak pan to zrobił? — Cubbison w kółko wypytywał Vareza.

Varez opuścił wzrok na mały emiter promieniowania.

— To dzięki temu urządzeniu. Dla niego była to rozkoszna zabawka, feeria promieniowania, obliczona na przyciągnięcie zainteresowania istoty,

której życiem oparte było na promieniowaniu, tak jak kociak przyciągnąłby zainteresowanie ludzkiego dziecka. Psychologia - niektóre z jej zasad mają charakter fundamentalny. Bo chociaż było to stworzenie transuranowe, nieludzkie, nienormalne, to jednak było też bardzo młode i można je było rozproszyć przy pomocy odpowiedniej zabawki, podobnie jak można to zrobić z każdym małym dzieckiem. Ta chwila dekoncentracji stworzyła dla nas szansę.

Cubbison rozpromienił się.

— Wy trzej uratowaliście stację! Natychmiast wyślę wiadomość do Nowego Jorku. W przyszłości zachowamy ostrożność, aby uniknąć powtórzenia się tego zagrożenia. Ale dzięki waszemu bohaterstwu praca Stacji Transuranowej może być kontynuowana.

Zarias roześmiał się. Śmiał się, ale widzieliśmy, że teraz z jego oczu i po policzkach spływały łzy.

— Tak, jesteśmy bohaterami — oznajmił. — Jesteśmy bohaterami, bo zabiliśmy dziecko.

Jego głos był pełen goryczy.

— Bo to było tylko dziecko, dziecko próbujące przeżyć i dorosnąć w całkowicie obcym i wrogim świecie. A my doprowadziliśmy je do śmierci! Niech nas wszystkich diabli wezmą! Kimże jesteśmy, jak nie małpami, które przechwalają się, że zamordowały coś, co mogło być większe od nas samych? To nie był człowiek, to nie było stworzenie z naszego kosmosu, ale było czyste, spokojne i lśniące, i mogło zmienić cały ten wszechświat w jeden rozległy i wspaniały umysł oraz ciało! Ale nie było człowiekiem, więc musieliśmy je zabić - my, bohaterowie!

Schował twarz w dłoniach i usiadł w kącie, zasłaniając oczy.

Varez popatrzył na niego.

— Zbyt wiele razy był pod jego wpływem — mruknął. — Przejdzie mu. Wydaje mi się… wydaje mi się, że wiem jak się czuje.

Mnie też wydawało się, że wiem. Ten jego wybuch zdumienia i zachwytu nad „zabawką” Vareza, ten zraniony, pełen oszołomienia smutek w ostatniej chwili - mną też wstrząsnęły.

Może Zarias miał rację. Może zabiliśmy stworzenie, które mogło być czymś większym i wspanialszym niż ludzkość. Ale to nadal nie jest wszechświat transuranowy. To ono było tu obce, nie my.

I od tamtej pory prześladuje mnie myśl, że może to był tylko prekursor. Poza naszym starym zakresem pierwiastków, potencjał sfer transuranowych wciąż wzywa człowieka do tworzenia. Być może pewnego dnia narodzi się kolejne Stworzenie, które nie umrze, ale będzie żyło po tym, jak dni człowieka dobiegną końca, jako jego dziwny dziedzic i potomek.

KONIEC